



DON WINSLOW

# Satori

PREQUEL **SHIBUMI** TREVANIANA



# 1

Nicholai Hel patrzył, jak liść klonu odrywa się od gałęzi, chwilę wiruje na wietrze, po czym łagodnie opada na ziemię.

To było piękne.

Po trzech latach odosobnienia w amerykańskiej celi więziennej po raz pierwszy rozkoszował się naturą. Wciągnął w płuca rześkie jesienne powietrze i wypuścił je dopiero po chwili.

Haverford mylnie uznał to za westchnienie.

— Cieszysz się, że wyszedłeś? — spytał.

Nicholai nie odpowiedział. Amerykanin był dla niego nikim. Zwykły kupiec, jak większość jego rodaków. Zamiast samochodami, kremami do golenia czy coca-colą handlował informacjami wywiadu. Nie zamierzał wdawać się z nim w pustą gadaninę, ani tym bardziej zdradzać mu swoich myśli.

Pewnie, że się cieszę, myślał, spoglądając za siebie na szare, ponure mury więzienia Sugamo. Dlaczego ludzie Zachodu odczuwają potrzebę artykułowania rzeczy oczywistych? I dlaczego próbują ubierać w słowa to, co niewysłowione? To naturalne, że liść klonu opada jesienią. Podobnie jak to, że zabiłem generała Kishikawę, bliższego mi niż ojciec, którego

nigdy nie miałem. Spełniłem jedynie synowski obowiązek. Amerykanie wtrącili mnie za to do więzienia, ponieważ, zważywszy na ich naturę, nie mogli postąpić inaczej.

A teraz ofiarowują mi „wolność”, bo jestem im potrzebny.

Nicholai ruszył przed siebie kamienistą ścieżką, po której obu stronach rosły klony. Niepokój, jakiego doznał na zewnątrz zamkniętej, ciasnej celi, nieco go zaskoczył; pod gołym niebem zaczął nagle odczuwać zawroty głowy, ale udało mu się je przemóc. Ten świat był wielki i pusty, nie miał w nim nikogo oprócz siebie. Przez trzy lata zadowalał się swoim własnym towarzystwem, tymczasem teraz, w wieku dwudziestu sześciu lat, miał ponownie wkroczyć w świat całkiem mu obcy.

Haverford to przewidział. Skonsultował się z psychologiem i wypytał o problemy, jakim muszą stawić czoło więźniowie wracający do społeczeństwa. Psycholog, klasyczny freudysta z typowo wiedeńskim akcentem, objaśnił, że „obiekt” przywyknał do ciasnej celi i z początku będzie przytłoczony ogromem przestrzeni, jaką napotka, wychodząc na wolność. Roztropność nakazywałaby umieścić tego człowieka w niewielkim, pozbawionym okien pomieszczeniu z dostępem do podwórka lub ogrodu, tak aby mógł stopniowo przystosować się do nowych warunków. Na otwartym terenie, podobnie jak w tętniącym życiem mieście, gdzie panuje bezustanny zgiełk, zapewne czułby się podenerwowany.

Haverford wynajął mały pokój w cichym, bezpiecznym domu na przedmieściach Tokio. Jednakże to, czego dotąd dowiedział się o Helu — chociaż z pewnością była to wiedza niepełna — pozwalało mu sądzić, że tego młodego mężczyznę niełatwo przytłoczyć czy zdenerwować. Hel wykazywał nadnaturalne opanowanie i spokój, pewność siebie graniczącą

z arogancją, a nawet protekcyjnością. Z pozoru doskonale łączył w sobie cechy matki Rosjanki, arystokratki, i ojczyzna samuraja, zbrodniarza wojennego Kishikawy, którego uchronił przed hańbą i strykiem, zadając mu pojedynczy cios w tchawicę.

Ma jasne włosy i bystre zielone oczy, a jednak, myślał Haverford, jest bardziej Azjata niż Europejczykiem. Nawet porusza się jak Azjata: wysoki, szczupły, skromnie pochylony, spleta ręce za plecami, tak aby nie zajmować zbyt wiele miejsca i nie sprawiać kłopotu napotykanym przechodniom. Z wyglądu Europejczyk, orzekł Haverford, w duszy Azjata. No cóż, to miało sens — urodził się i dorastał w Szanghaju, wychowywany przez matkę, emigrantkę z Rosji, a gdy miasto opanowali Japończycy, wziął go pod swoje skrzydła Kishikawa. Po śmierci matki generał wysłał chłopca do Japonii. Nicholai został uczniem i podopiecznym mistrza *go*, piekielnie skomplikowanej i pełnej niuansów gry planszowej, japońskiej wersji szachów, aczkolwiek stukrotnie trudniejszej.

Hel opanował grę do perfekcji.

Nic dziwnego, że rozumuje jak Azjata.

Nicholai wyczuł myśli mężczyzny. Amerykanie są niewiarygodnie przezroczyści, można zobaczyć ich myśli jak kamyki na dnie przejrzystej, nieruchomej sadzawki. Nie obchodziło go, co sądzi o nim Haverford — normalny człowiek nie przejmuje się opinią sprzedawcy w sklepie spożywczym — ale irytowało go to. Skupił uwagę na promieniach słońca, poczuł ich ciepło na twarzy.

— Na co miałbyś ochotę? — spytał Haverford.

— W jakim sensie?

Amerykanin zaśmiał się cicho. Większość mężczyzn po długim odosobnieniu pragnęła trzech rzeczy: picia, jedzenia

i kobiety, niekoniecznie w tej kolejności. Nie chcąc, by Hel potraktował go lekceważąco, odpowiedział po japońsku:

— W sensie: na co miałbyś ochotę.

Nicholai był pod niejakim wrażeniem, że Haverford mówi w jego języku. Zaintrygowało go to, że nie poddał nawet tak małego kamienia na planszy.

— Chętnie napiłbym się przyzwoitej herbaty — powiedział.

— Prawdę mówiąc — odrzekł jego towarzysz — zaaranżowałem skromną *chakai*. Mam nadzieję, że zadowolającą.

Ceremonia picia herbaty, pomyślał Nicholai.

Ciekawe.

Na końcu ścieżki czekał samochód. Haverford otworzył tylne drzwi, zapraszając go gestem do środka.

## 2

*Chakai* okazała się nie tylko zadowolająca, ale wręcz niezrównana.

Nicholai siedział po turecku przy małym stoliku z laki na podłodze wyłożonej tatami, delektując się kolejnymi łykami *chanoyu*. Odnosił wrażenie, że zarówno picie herbaty, jak i obecność gejszy dyskretnie klęczącej w pobliżu, lecz na tyle daleko, by nie słyszeć ich skąpej wymiany zdań, mają w sobie coś transcendentnego.

Nicholai odkrył ze zdumieniem, że agent Haverford zna się na ceremonii i obsługuje gościa z nienaganną uprzejmością, bezbłędnie przestrzegając rytuału. Gdy tylko weszli do herbaciarni, Amerykanin przeprosił, że siłą rzeczy nie ma w niej innych gości, po czym wprowadził towarzysza do *machiai*, altany pełniącej funkcję poczekalni, i przedstawił go prześlicznej gejszy.

— Poznaj Kamiko-san — powiedział. — Będzie dziś moją *hanto*.

Kamiko skłoniła się, wręczyła mu kimono i podała filiżankę *sayu* — gorącej wody, która miała posłużyć do zaparzenia herbaty. Nicholai upił łyk, a gdy Haverford wyszedł, by

przygotować napar, Kamiko wyprowadziła go na zewnątrz na *roji*, „zroszoną ziemię”, ścieżkę w skalnym ogródku pozbawionym kwiatów. Usiedli na kamiennej ławce, w milczeniu kontemplując ciszę.

Kilka minut później Haverford, odziany w kimono, podszedł do *tsukubai*, kamiennej misy, zgodnie z ceremoniałem obmył usta i dłonie w źródlanej wodzie, po czym wkroczył przez bramę na *roji* i oficjalnie powitał gościa ukłonem. Z kolei Nicholai dokonał rytuału oczyszczenia.

Do *chashitsu*, pawilonu herbaty, prowadziły rozsuwane drzwi wysokości niespełna metra, przez co obaj musieli się pochylić. Ten akt symbolizował przejście od świata fizycznego do duchowej przestrzeni herbaciarni.

*Chashitsu* — wyrafinowany, elegancki w swej prostocie pawilon — był doskonałym ucieleśnieniem *shibumi*. Hołdując wymogom tradycji, najpierw weszli do wnęki, gdzie na ścianie wisiał zwój *kakemono* z wykaligrafowanym tekstem, stosownym do okazji. Jak na gościa przystało, Nicholai pochwalił zręczną kreskę, jaką artysta namalował japoński ideogram *satori*.

Interesujący wybór, pomyślał Nicholai. W buddyjskiej filozofii zen *satori* oznacza nagłe przebudzenie, uświadomienie sobie życia takim, jakie jest w rzeczywistości. To swego rodzaju oświecenie nie następowało w wyniku medytacji czy świadomej myśli — mógł je spowodować powiew wiatru, trzask ognia, spadający liść.

Nicholai nigdy nie doświadczył *satori*.

Pod zwojem *kakemono* na niewielkim drewnianym stojaku stała misa z pojedynczą gałązką klonu.

Podeszli do niskiego stolika, na którym ustawiono piec na węgiel drzewny i czajnik. Nicholai i Kamiko uklękli na macie

przy stoliku. Haverford skłonił się i wyszedł. Po chwili rozległ się gong i Amerykanin wrócił z *chawan*, czerwoną ceramiczną miseczką. Były w niej mieszadełko — bambusowy pędzelek — miarka do herbaty i jedwabna ściereczka.

Jako *teishu*, gospodarz, Haverford ukląkł w odpowiednim miejscu po drugiej stronie stolika, dokładnie na wprost paleniska. Wytarł ściereczką pędzelek i miarkę, napełnił czarkę gorącą wodą, opłukał mieszadełko, wylał wodę do innej miski i znów starannie wytarł czarkę do parzenia herbaty.

Nicholai z przyjemnością uczestniczył w ceremonii, pilnował się jednak, by nie popaść w samozadowolenie. Najwyraźniej Amerykanin zebrał dość informacji na jego temat i wiedział, że przez kilka lat wolności, jaką cieszył się w Tokio, zanim go aresztowano, Hel miał tradycyjny japoński dom ze służbą i przestrzegał dawnych rytuałów. Niewątpliwie gospodarz spodziewał się, że Nicholaia ogarnie nostalgia i *chakai* wprowadzi go w dobry nastrój.

I rzeczywiście, pomyślał Nicholai, lecz ostrożności nigdy dość.

Haverford uniósł miarkę, otworzył mały pojemnik i pozwolił gościowi przez chwilę delektować się aromatem suszonych liści. Nicholai, zaskoczony, odkrył, że była to *koicha*, ze stuletnich roślin uprawianych jedynie w pewnych zacienionych częściach Kioto. Nie miał pojęcia, ile mogła kosztować ta *matcha*, i zastanawiał się, ile będzie kosztować jego osobiscie, bo przecież Amerykanin nie pozwoliłby sobie na taką rozrzutność bez powodu.

Haverford odczekał chwilę, po czym zanurzył w pojemniku małą łyżkę, odmierzył sześć miarek bladozielonej herbaty i wysypał drobny proszek do *chawan*. Używając bambusowej chochelki, nalał gorącej wody do miseczki i za pomocą



mieszadółka ubił miksturę na gęstą masę. Przyjrzał się jej uważnie, po czym, zadowolony z rezultatu, podał miseczkę przez stół gościowi.

Zgodnie z wymogami rytuału Nicholai skłonił głowę, ujął *chawan* prawą ręką i przełożył do lewej. Trzymając czarkę w dłoni, obrócił ją trzy razy zgodnie z ruchem wskazówek zegara i pociągnął długi łyk. Herbata smakowała wybornie. Nicholai głośno siorbnął przez grzeczność. Wytał brzeg *chawan* prawą ręką, obrócił miseczkę raz zgodnie z ruchem wskazówek zegara, po czym oddał ją gospodarzowi, który skłonił się i upił łyk.

Ceremoniał *chakai* wkroczył teraz w fazę mniej oficjalną. Haverford ponownie wytarł ściereczką *chawan*, a Kamiko dołożyła węgli do paleniska, żeby zaparzyć rzadszą herbatę. Mimo wszystko na tym etapie również obowiązywały pewne rytuały i Nicholai jako gość zagadnął gospodarza o naczynia użyte w ceremonii.

— *Chawan* pochodzi z okresu Momoyama, prawda? — zwrócił się do Haverforda. Czarka miała charakterystyczny czerwony odcień. — Jest piękna.

— Momoyama, tak — odrzekł Haverford. — Ale to niezbyt udany egzemplarz.

Obaj wiedzieli, że siedemnastowieczna czarka jest bezcenna. Amerykanin zadał sobie wiele trudu i nie szczędził kosztów, żeby zaaranżować tę „skromną” *chakai*, i Nicholai zachodził w głowę czemu.

A Haverford nie krył zadowolenia z niespodzianki.

Nie znam cię, Hel, myślał, siadając w pozycji *seiza*, ale ty też mnie nie znasz.

W rzeczywistości Ellis Haverford bardzo różnił się od zbirów z Firmy, którzy w trakcie trwającego trzy dni

brutalnego przesłuchania zrobili z Nicholaia krwawą miazgę. Urodzony na Manhattanie w Upper East Side, wzgardził Yale i Harvardem. Wybrał Uniwersytet Columbia, ponieważ nie wyobrażał sobie lepszego miejsca do życia niż Manhattan. Gdy bombardowano Pearl Harbor, robił specjalizację z historii Orientu i języków, co uczyniło z niego idealnego kandydata do pracy w wywiadzie.

Wówczas odmówił. Wstąpił do piechoty morskiej, dowodził plutonem w Guadalcanal i kompanią w Nowej Gwinei. Odznaczony medalem za rany odniesione w walce i Krzyżem Marynarki, ostatecznie doszedł do wniosku, że jego wykształcenie idzie na marne, i został agentem wywiadu. W Indochinach Francuskich szkolił w dżungli lokalne ruchy oporu przeciw Japończykom. Mówił biegle po francusku, japońsku i wietnamsku i potrafił się dogadać w niektórych rejonach Chin. Na swój sposób był arystokratą, jak Hel — chociaż pochodził ze znacznie zamożniejszej rodziny — i w przeciwieństwie do większości ludzi czuł się swobodnie w każdych okolicznościach, nawet w ekskluzywnej japońskiej herbaciarni.

Kamiko podała im teraz rzadką herbatę. Przyniosła też *mukozuke*, tacę lekkich przekąsek — sashimi i pikle.

— Smaczne jedzenie — odezwał się Nicholai po japońsku, gdy Kamiko ich obsługiwała.

— Nic specjalnego — odparł Haverford pro forma. — Niestety, nie mam niczego innego. Tak mi przykro.

— To w zupełności wystarczy — rzekł Nicholai. Nieświadomie powracał do japońskich manier, których przez kilka lat nie miał okazji ćwiczyć.

— Jesteś nadzwyczaj uprzejmy — odwzajemnił się Haverford.

Zdając sobie sprawę z biernej obecności Kamiko, Nicholai spytał:

— Może przejdziemy na inny język?

Haverford wiedział, że Hel biegle włada angielskim, francuskim, rosyjskim, niemieckim, chińskim, japońskim, a także w pewnym stopniu baskijskim — było więc z czego wybierać. Zaproponował francuski. Nicholai się zgodził.

— A więc — zaczął — oferuje mi pan sto tysięcy dolarów, wolność, paszport obywatela Kostaryki oraz adresy prywatne majora Diamonda i jego pomocników w zamian za wykonanie zadania, w którego zakres, jak przypuszczam, wchodzi morderstwo.

— „Morderstwo” to takie okropne słowo. — Haverford się skrzywił. — Ale owszem, zasadniczo o to chodzi, tak.

— Dlaczego ja?

— Masz pewne niezwykle cechy charakteru — odparł Amerykanin. — A także umiejętności konieczne do wykonania zadania.

— A konkretnie?

— Dowiesz się w swoim czasie.

— Kiedy mam zacząć?

— Należałoby zapytać jak.

— Dobrze więc. Jak mam zacząć?

— Na początek — odrzekł Haverford — naprawimy ci twarz.

— Wydaje się panu odrażająca? — spytał Nicholai. Zdawał sobie sprawę, że pięści i pałki majora Diamonda i jego współpracowników pokiereszowały jego niegdyś przystojne oblicze, teraz asymetryczne, opuchnięte, bez wyrazu.

Nicholai pracował dla Amerykanów jako tłumacz, dopóki nie zabił generała Kishikawy. Wówczas Diamond i jego zbiry

pobili go do nieprzytomności, a następnie poddali przerażającym eksperymentom, zmieniającym świadomość za pomocą substancji psychotropowych. W rezultacie cierpiał katusze, został oszpecony, ale najbardziej bolała go utrata kontroli, potworna bezradność, świadomość, że Diamond ze swoimi wstrętnymi pomagierami odebrał mu całe jego jestestwo i bawił się nim, tak jak okrutne, bezmyślne dziecko bawi się bezbronny zwierzątkiem.

Policzę się z nimi w swoim czasie, pomyślał. Diamond, jego ludzie, lekarz, który robił zastrzyki i chłodnym, klinicznym okiem notował reakcje „pacjenta” — wszyscy oni jeszcze mnie zobaczą, przez krótką chwilę, na moment przed śmiercią.

Tymczasem pozostaje mi dogadać się z Haverfordem, który pomoże mi dokonać zemsty. Haverford przynajmniej wydaje się interesujący — nienagannie ubrany, najwyraźniej wykształcony, zapewne jego rodzina w Ameryce uchodzi za arystokrację.

— Bynajmniej — odparł Haverford. — Po prostu uważam, że jeśli się coś zepsuło, należy to naprawić. Tego wymaga sprawiedliwość.

Haverford próbuje mi powiedzieć, pomyślał Nicholai, w całkiem nieamerykański, subtelny sposób, że nie jest taki jak oni. Ależ oczywiście, że jest, jego ubranie i wykształcenie to tylko patyna na tej samej popękanej łodzi.

— A jeśli nie zdecyduję się na tę „naprawę”? — spytał.

— Wówczas, obawiam się, będziemy musieli unieważnić naszą umowę — powiedział Haverford miłym głosem, zadowolony, że jego francuski złagodził wymowę zdania, które po angielsku zabrzmiałoby jak twarde ultimatum. — Twój obecny wygląd prowokowałby zbyt dużo pytań. Zadaliśmy

sobie wiele trudu, żeby stworzyć dla ciebie przykrywkę.

— Przykrywkę?

— Nową tożsamość. — Haverford przypomniał sobie, że wprawdzie Hel był skutecznym zabójcą, jednak w wielkim świecie wywiadu brakowało mu doświadczenia. — Wraz z całą fikcyjną biografią.

— A konkretnie? — spytał Nicholai.

Haverford pokręcił głową.

— Dowiesz się w swoim czasie.

— Dobrze mi było w celi — stwierdził Nicholai, testując go. — Mógłbym tam wrócić.

— Mógłbyś — zgodził się Amerykanin. — A my moglibyśmy postawić cię przed sądem za zabójstwo Kishikawy.

Nieźle rozegrane. Nicholai doszedł do wniosku, że w stosunkach z Haverfordem musi zachować większą ostrożność. Ponieważ nie widział możliwości ataku, postanowił się wycofać.

— Operacja plastyczna twarzy... Zakładam, że mówimy o operacji?

— Tak.

— Zakładam, że będzie bolesna.

— Bardzo.

— Okres rekonwalescencji?

— Kilka tygodni — odparł Haverford. Ponownie napełnił filiżankę gościa i swoją, po czym dał znak Kamiko, żeby przyniosła świeży dzbanek. — Nie zmarnujesz tego czasu. Czeka cię sporo pracy.

Nicholai spojrział na niego pytająco.

— Twój francuski — wyjaśnił Haverford. — Słownictwo robi wrażenie, ale akcent masz fatalny.

— Moja francuska niania bardzo by się obraziła.

Haverford przeszedł na japoński — w tym języku lepiej niż po francusku mógł grzecznie wyrazić żal.

— *Gomen nosei*, w nowej roli musisz się posługiwać południowym dialektem.

Ciekawe czemu, zastanawiał się Nicholai. O nic jednak nie zapytał, żeby nie wyglądało na to, że jest zaintrygowany czy w ogóle zainteresowany.

Kamiko trzymała się na uboczu. Gdy usłyszała, że skończyli, skłoniła się i podała herbatę. Miała piękną, misternie upiętą fryzurę, alabastrową cerę i błyszczące oczy. Ku irytacji Nicholai'a Haverford zauważył, jak na nią patrzy.

— Wszystko zostało uzgodnione, Hel-san — powiedział.

— Dziękuję, nie skorzystam — odrzekł Nicholai. Nie chciał dać mu satysfakcji, że trafnie odgadł jego fizyczną potrzebę. Byłaby to oznaka słabości, a dla Amerykanina zwycięstwo.

— Naprawdę? — dopytywał Haverford. — Jesteś pewien?

Inaczej bym tego nie mówił, pomyślał Nicholai. Nie raczył odpowiedzieć na pytanie.

— Jeszcze jedno — odezwał się po chwili.

— Tak?

— Nie zabiję niewinnego człowieka.

Haverford zaśmiał się cicho.

— To raczej wykluczone.

— Wobec tego zgadzam się.

Haverford skinął głową.

# 3

Pragnął za wszelką cenę pozostać przytomny.

Utrata kontroli była przekleństwem dla człowieka, który przez całe życie wykazywał się niezwykłym opanowaniem. Przypomniał sobie farmakologiczne tortury, jakim poddawali go Amerykanie. Tak więc walczył, chcąc zachować świadomość, lecz w końcu usnął pod wpływem narkozy.

Jako chłopiec często spontanicznie doświadczał pewnych szczególnych stanów umysłu, kiedy to odrywał się od rzeczywistości i zdawało mu się, że leży na sielskiej łące pośród polnych kwiatów. Nie wiedział, jak to się działo ani dlaczego, ale doznawał wówczas spokoju i błogości. Nazywał te chwile „czasem odpoczynku” i nie pojmował, jak ktokolwiek mógłby żyć bez nich.

Bomby zapalające zrzucone na Tokio, śmierć najbliższych przyjaciół, potem Hiroszima, Nagasaki, aresztowanie generała Kishikawy, oskarżonego o zbrodnie wojenne — człowieka o wysokiej kulturze, dzięki któremu poznał zasady gry *go*, nabrał ogłady i zaczął żyć życiem zdyscyplinowanym i głębokim — to wszystko pozbawiło go cennego „czasu odpoczynku” i chociaż bardzo się starał, nie był w stanie

odnaleźć spokoju, jaki dawniej przychodził do niego w sposób naturalny.

Jeszcze trudniej było mu osiągnąć spokój, kiedy wprowadzono go na pokład samolotu z przyciemnionymi szybami, którym poleciał do Stanów. Odebrano go z lotniska jak rannego, z zabandażowaną twarzą. Trudno było mu zachować spokój, gdy wjechał na noszach do szpitala, gdzie wkłuli mu igłę w ramię, a na nos i usta nałożyli maskę.

Obudził się w panice, z rękami przywiązanymi do łóżka.

— Wszystko w porządku — usłyszał głos amerykańskiej pielęgniarki. — Po prostu nie chcemy, żeby pan przekręcał się na bok. I nie może pan dotykać twarzy.

— Nie mam zamiaru.

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

Nicholai może by się z nią spierał, ale ból dokuczał mu niemiłosiernie, tak jak oślepiające światło pod powiekami. Zamrugał oczami, zapanował nad oddechem i odsunął światło na drugi koniec sali, gdzie mógł obserwować je beznamiętnie. Ból nie minął, teraz jednak było to zjawisko na zewnątrz niego, nawet ciekawe w swej intensywności.

— Zrobię panu zastrzyk — oznajmiła pielęgniarka.

— Nie trzeba — odrzekł.

— Nie możemy pozwolić, żeby pan krzywił się z bólu czy zaciskał szczękę. To była bardzo skomplikowana operacja.

— Zapewniam panią, że będę leżał zupełnie nieruchomo — powiedział. Przez półprzymknięte powieki widział, jak pielęgniarka szykuje strzykawkę. Miała zdrową celtycką urodę: jasną cerę, piegi, rude włosy i grube przedramiona. Nicholai wypuścił powietrze z płuc, rozluźnił ręce i wyswobodził je z więzów.

Pielęgniarka okropnie się zirytowała.



— Mam wezwać lekarza?

— Jeśli uzna to pani za stosowne.

Lekarz zjawił się po kilku minutach. Ostentacyjnie sprawdził bandażę spowijającą twarz Nicholaia, zagadał jak kura, która właśnie zniosła wspaniałe jajo, po czym orzekł:

— Zabieg udał się znakomicie. Spodziewam się pomyślnych rezultatów.

Nicholai nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć.

— Proszę nie dotykać twarzy — upomniał go lekarz. Zwracając się do pielęgniarki, dodał: — Jeśli nie chce niczego na ból, to nie chce niczego na ból. Kiedy zmęczy się odgrywaniem stoika, zawoła panią. Proszę się nie śpieszyć, zemsta jest rozkoszą bogów.

— Tak, panie doktorze.

— Znam się na tej robocie — powiedział lekarz. — Kijem się pan nie opędzi od kobiet.

Nicholai nie od razu pojął, o co chodzi.

— Część mięśni będzie w pewnym stopniu sparaliżowana, ale da się z tym żyć. Łatwiej zachowa pan ten obojętny wyraz twarzy.

Nicholai ani razu nie zawołał pielęgniarki.

Ani razu się nie poruszył.

## 4

Pod osłoną nocy i ulewnego deszczu monsunowego człowiek zwany Kobrą siedział w kucki całkiem nieruchomo.

Kobra obserwował, jak stopy mężczyzny zapadają się w błoto, gdy z chlupotem szedł ścieżką w krzaki za potrzebą, jak to zwykle się działo. Zabójca spodziewał się go — wiele nocy spędził tu w oczekiwaniu na ofiarę, żeby poznać jej obyczaje.

Mężczyzna zbliżył się do miejsca, gdzie w bambusowych zaroślach na wąskiej ścieżce czał się Kobra. Pochłonięty potrzebą nic nie widział przez zasłonę deszczu.

Kobra wyczekał stosownej chwili, wyprostował się i uderzył. Ostrze, srebrne jak krople wody, rozcięło udo ofiary. Czując dziwny ból, mężczyzna spojrział w dół i przyłożył dłoń do krwawej dziury w nogawce. Ale było już za późno — tętnica udowa została przecięta, krew lała się przez palce. Wstrząśnięty, usiadł na ziemi i patrzył, jak jego życie znika w kałuży, która szybko tworzyła się wokół niego.

Kobra tymczasem zniknął.

## 5

Nawet jeśli major Diamond ucieszył się, że Nicholai Hel przyjął propozycję, nie okazał nadmiernego entuzjazmu.

— Hel to stuknięty pół-Japonec — stwierdził. — Rozum mu się pomieszał.

— Tak — odparł Haverford. — Zdaje się, że mieliście z tym coś wspólnego, prawda?

— Był agentem komuchów. — Diamond wzruszył ramionami. Fakt, trochę poturbował chłopaka. Zrobił z niego królika doświadczalnego, żeby przetestować nowe środki farmakologiczne. I co z tego? Toczyli wojnę z blokiem komunistycznym, brudną wojnę. Zresztą Hel był wyjątkowo aroganckim gówniarzem. Ta jego wyniosła, protekcyjnalna poza wręcz prowokowała agresję.

Diamond sądził, że ma go z głowy, odkąd przeniósł się do CIA i porzucił Japonię na rzecz Azji Południowo-Wschodniej, ale ten nieznośny Hel był jak ogon latawca. Powinni byli go sprzątnąć, póki mieli ku temu okazję. A teraz? Mieli go zatrudnić w roli agenta?

Haverford! Komuszy lalusz z dyplomem, jeszcze jeden zarozumiały gnojek mądrała. Jasna cholera, Haverford w

czasie wojny wspierał Viet Minh, Ligę Niepodległości Wietnamu, a w ogóle co to za imię — Ellis?

— Hel nie był komunistycznym agentem — powiedział Haverford. — Ani sowieckim agentem, ani w ogóle żadnym agentem. Zresztą dowiodło tego wasze „śledztwo”.

Diamond wydawał mu się odpychający pod każdym względem, od wyglądu zewnętrznego aż po rdzeń domniemanej duszy. Gardził nim. Facet przypominał gitarę o krzyżowym układzie strun. Wąskie usta, opadające powieki. A wewnątrz miał jeszcze brzydsze. Drobnomieszczański łajdak. Zostałby gorliwym nazistą, ale przypadkiem urodził się w Ameryce. Niestety. Takich jak on oficerów wywiadu armia produkowała masowo: pozbawionych wyobraźni, brutalnych, pełnych uprzedzeń, nieskalanych myślą czy wykształceniem.

Haverford go nie znosił. Ludzie jego pokroju zagrażali amerykańskimi interesom w Azji.

John Singleton, szef działu azjatyckiego CIA, siedział za wielkim biurkiem, przysłuchując się rozmowie. Siwe włosy okalały jego pobrużdżoną twarz niczym śnieg górskie szczyty. Jasnoniebieskie oczy patrzyły lodowato.

Singleton był zagorzałym zwolennikiem polityki zimnowojennej — Haverford nigdy nie spotkał równie zimnego człowieka.

Słyszał z bezwzględności. Jako szara eminencja wywiadu budził postrach i szacunek w całym Waszyngtonie, łącznie z Kapitołem.

Nie bez przyczyny, myślał Haverford. W porównaniu z Singletonem Machiavelli był naiwnym chłopcem z chóru kościelnego, a Borgiowie cherubinkami z obrazu Rockwella. Sam diabeł wyglądałby przy nim jak anioł Lucyfer przed upadkiem.

Podobno podczas wojny, jako szef azjatyckiego Biura Służb Strategicznych, Singleton kierował partyzantką w Chinach i Wietnamie. Niektórzy twierdzą nawet, że wpłynął na decyzję o zrzuceniu bomb na Hiroszimę i Nagasaki.

Po wojnie utrzymał mocną pozycję gracza na scenie politycznej, mimo „utraty” Chin, niespodziewanej wojny koreańskiej i kampanii McCarthy’ego. W rzeczywistości miał teraz większą władzę niż kiedykolwiek, co wielu jego wrogów po cichu tłumaczyło bliskimi koneksjami z diabłem.

Singleton zerknął zza biurka na dwóch rywali.

— Czy Hel jest niezrównoważony? — spytał Haverforda.

— Wręcz przeciwnie. Nigdy nie spotkałem równie opanowanego człowieka.

— Zakochałeś się w nim czy co? — wtrącił się Diamond, chytrze łypiąc okiem. Prostacka uwaga homofoba.

— Nie, nie zakochałem się w nim — odparł Haverford zmęczonym głosem.

— Trzeba odwołać misję — zwrócił się Diamond do Singletona. — To zbyt ryzykowne. Hel jest nieprzewidywalny. W południowych Chinach mam niezawodnych zabójców, których moglibyśmy wysłać...

— Hel doskonale nadaje się do tego zadania — przerwał mu Haverford.

— Dlaczego? — spytał Singleton.

Haverford wyłożył mu swoje argumenty: Hel biegle posługiwał się chińskim, rosyjskim i francuskim. Był mistrzem sztuk walki, zdolnym nie tylko wykonać wyrok, ale też zrobić to w taki sposób, żeby śmierć ofiary wydawała się zagadkowa, co miało decydujące znaczenie dla osiągnięcia optymalnego rezultatu.

— To ważne, żeby mówił po francusku? — spytał

Diamond, wężąc kłopoty.

— Właśnie dlatego zaprosiliśmy cię na to spotkanie — wyjaśnił Singleton. — Ellis?

— Hel będzie występował w roli francuskiego handlarza bronią — powiedział Haverford, z satysfakcją przewidując konsternację Diamonda — który sprzedaje broń Viet Minh.

I rzeczywiście, Diamond skrzywił się.

— Ponieważ dotyczy to obszaru Indochin — dodał Singleton — powinienes o tym wiedzieć.

Świetnie, pomyślał Diamond. Jakbym nie miał dość problemów z żabojadami. I z własnymi ludźmi, którzy po cichu wspierają wroga.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że naprawdę zamierzacie...

— Oczywiście, że nie. To tylko przykrywka, dzięki której Hel przedostanie się do Pekinu — wyjaśnił Haverford. — Po prostu nie chcieliśmy, żebyś wpadł w panikę, w razie gdyby zapiszczały radary.

Diamond rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Lepiej trzymaj tego chłoptasia z dala od mojego terytorium.

— Spokojna głowa.

Ale Diamond się zaniepokoił. Gdyby w Waszyngtonie dowiedzieli się o Operacji X i o tym, jaką odgrywał w niej rolę... Operacją X w Indochinach dowodzili Francuzi, zakładał więc, że nie ma ryzyka. Tymczasem ta sprawa z Helem mogła go zdemaskować.

Zwrócił się do Singletona.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym, żeby informowano mnie o kolejnych etapach operacji.

— Oczywiście — zapewnił go Singleton. — Ellis, będziesz

informował majora na bieżąco.

— Tak jest.

— Aha, Ellis, zostań jeszcze chwilę.

Diamond wyszedł. Nicholai Hel na wolności, pomyślał w windzie. Poczuł mimowolne drżenie w nogach. Spójrz prawdzie w oczy, boisz się go, i nie bez powodu. Ten świetnie wyszkolony morderca chowa do ciebie urazę.

I jeszcze Operacja X.

Jeśli wyszłaby na jaw...

Nie mógł do tego dopuścić.

□ □ □

— Hel wie, kto jest jego celem? — spytał Singleton Haverforda.

— Jeszcze mu nie powiedziałem.

Singleton zamyślił się.

— Czy Diamond mógł mieć rację, kiedy stwierdził, że Hel jest nieprzewidywalny?

— Nie sądzę — odparł Haverford. — Ale na wszelki wypadek postanowiłem, że tak powiem, „rzucić kotwicę”.

Singleton odprawił Haverforda i skonsultował z sekretarką terminarz spotkań. Stwierdziwszy, że ma jeszcze parę chwil na refleksję, udał się do swego gabinetu, usiadł przy biurku i zadumał się nad planszą do gry w *go*.

Od kilku tygodni rozgrywał partię sam ze sobą. W tym czasie białe i czarne kamienie ułożyły się w piękny wzór, subtelnie i z wdziękiem jednocząc jin i jang. Tylko na planszy *goban* można było stworzyć równowagę doskonałą.

Diamond pozostanie Diamondem, Haverford — Haverfordem. To stałe elementy w grze.

Natomiast Hel...

Singleton przesunął czarny kamień.

Hel wkrótce dowie się, kto jest jego celem. Będzie miał silną motywację.

Ale do czego?

Jak zachowa się ten gracz? Nie było przesady w stwierdzeniu, że przyszłe losy Azji spoczywały w rękach wielce złożonej osoby Nicholaia Hela.

„Rzucić kotwicę”.

Ciekawe.